



ZAŚLUBINY ŚMIERCI

LEO BELMONT

 SAGA
EGMONT

Leo Belmont

Zaślubiny śmierci

Saga

Zaślubiny śmierci

Copyright © 1927, 2019 Leo Belmont i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788711676929

1. Wydanie w formie e-booka, 2019

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Część I

Mary Vetsera

Rozdział I

Arcyksiążę czy nie arcyksiążę?

- Bratfisz?

To pytanie rzuciła dama, otulona wytwornym płaszczem, uchyliwszy z lekka rąbek gęstego woalu i odsłoniwszy na moment przedziwnie skrojony podbródek i olśniewające białością ząbki w różowej oprawie pięknych ust. Zresztą nikt nie mógł w tej chwili podziwiać tych dyskretnie ujawnionych szczegółów zapewne pięknej w całości i młodej twarzy, gdyż stała na trotuarze przy ostatnim stopniu szerokich schodów wiodących do portyku kąpieliskiego kasyna. Kontrast pomiędzy oślepiającym światłem wybiegającym ze wszystkich okien gmachu, za którego szybami widać było ruch porywanych walcem par, a względnym mrokiem ulicy, ku której zwrócona była twarzą, sprawiał, że zarysy postaci ludzkich rozplątywały się we mgle, nie bacząc na dwie wielkie latarnie, jarzące się po obu stronach podjazdu na marmurowych podstawach.

Ze schodów zstępowało kilkanaście osób opuszczających zabawę przed północą, jakkolwiek – sądząc z wesołych dźwięków muzyki i gwaru, dobywającego się tu i ówdzie z otwartych okien – bal trwał na dobre. Tuż nieopodal damy tłoczyła się na trotuarze gromadka osób, ale te nie zwracały na nią uwagi, wydając na wyścigi urękawiczonym lokajom dyspozycje sprowadzenia wyczekujących w szeregu wzdłuż gmachu najętych i własnych powozów i karet.

Stangret wywołany przez woźnego kasyna na zlecenie damy, która wymieniła w tym celu nazwisko *Bratfisz*, zajechał pędem przed podjazd i osadził dwa wspaniałe czarne rumaki. Woźnica, kareta i konie były widać obce na badeńskim bruku, gdyż policjant, stojący przy latarni, poruszył z podziwem głową i mruknął do siebie: *Pierwsza klasa!*, a zwracając się do woźnego, który wywołał stangreta, zapytał: *Czyj?* – na co otrzymał odpowiedź: *Nie wiem.*

Na pytanie damy: *Bratfisz?* stangret tylko potrząsnął głową, wydał miast odpowiedzi gwizd naśladujący kosa, zeskoczył z kozła, uprzedzając grzecznego policjanta, i otworzył drzwiczki pochylony w niskim ukłonie. Dama szybko wsiadła.

Jednym skokiem, mimo dość okazałej tuszy, żwawy człowieczek z kusą czarną bródką, znalazł się ponownie na koźle, zakołysał głową przystrojoną w tyrolski kapelusz z piórem i śmignął batem konie. Ruszyły pełnym kłusem. Kareta skręciła w boczną ulicę, objechała węgiel kasyna i zatrzymała się na rogu krętego zaułka, gdzie nieliczne, odległe od siebie, latarnie gazowe dawały słabe światło. Mogłoby się zdawać, że stangret unika światła. Oczekiwał w najciemniejszym miejscu.

Z tej strony widać było pogrążoną w mroku tylną fasadę kasyna, gdzie mieściły się pokoje służby. Po jakimś kwadransie przez drzwi oficyny wyszedł mężczyzna wysokiego wzrostu w płaszczu oficerskim. Wyprowadzającemu go lokajowi kasyna wcisnął zapewne gruby datek – tak nisko pochylił się tamten – a ręką kiwnął mu na odchodnym: *Nie trzeba! Sam trafię*, jakby broniąc się przed propozycją odprowadzenia go dalej, po czym elastycznym krokiem podążył w kierunku karety.

– Bratfisz! – zawołał radośnie.

I znowu stangret gwizdnął na sposób kosa. Chciał zeskoczyć z kozła. Lecz nieznajomy powstrzymał go w ruchu. Sam otworzył drzwiczki podjazdu; wsiadł. I karetę ruszyła pędem, zawróciwszy ku szerokim alejom Ringu, biegnącym dokoła stylowych pałacików słynnego uzdrowiska, zamieszkałego w każdej porze roku licznie przez gości z arystokratycznych i finansowych sfer odległego zaledwie o dwadzieścia siedem kilometrów Wiednia.

Nieznajomy nie zdążył jeszcze usadowić się dogodnie na poduszkach, kiedy już przyłgnęły do jego ust wargi oczekującej w karecie damy i obdarzyły go soczystym pocałunkiem.

- Janku! jakże się stęskniłam! - szepnął głos śpiewny.

- Co takiego? - odparł z najwyższym zdumieniem mężczyzna.

W odpowiedzi z ust damy wydobył się okrzyk przestachu.

- Kto pan jest?!... Przepraszam pana!... Na miłość Boską, niech pan zatrzyma karetę!

Nieznajomy odpowiedział wybuchem śmiechu.

- Przede wszystkim muszę dowiedzieć się, kim pani jest... i jak się znalazłaś w mojej karecie. Spodziewałem się kogoś innego.

- Panie! to okropna pomyłka... Czekałam na męża...

- A to wyborne!... Skoro ten kłapouch Bratfisz omylił się... to... widać, sam los nakazuje mi na dziś zastąpić godnie przy pani jej miłego mężulka!

- Panie! proszę tak brzydko nie żartować... Pan jest oficerem - jak mój mąż - sądząc po guzikach uniformu... A więc jesteś człowiekiem honoru. Błagam pana, zatrzymaj konie... Muszę wysiąść!

- Zaraz!... zaraz!... proszę się nie gorączkować! Przede wszystkim muszę wyjaśnić pomyłkę. To jedno winnaś mi

pani... choćby za to, że pozbawiłaś mnie towarzystwa innej osobki, na którą miałem wszelkie prawo liczyć dzisiejszego pięknego wieczora.

- Czy to nie wszystko jedno panu?... Jesteś nielitościwy!

- Jak to... wszystko jedno? - śmiał się. Miałem jechać we dwoje - a przez błąd pani muszę wracać samotny do domu. Winnaś mi pani... rekompensatę! - chwycił ją za rękę.

- Proszę mnie puścić! To nieładnie!... Proszę pamiętać, że jestem żoną oficera! I mąż mój... potrafi ująć się mego honoru.

- Za co?! Nie czynię pani żadnej krzywdy. Gotów jestem zresztą dać wszelką satysfakcję mężowi pani... jeżeli cokolwiek zawiniłem. Ale to przecie pani sama wdarła się do mego pojazdu.

- *Wdarła się?*... - jakich brzydkich słów pan używa. Po prostu przypadek! Niech pan puści rękę!

- Zgoda, turkawko!... Puszczam twe pulchne rączki!... Ale nie zatrzymam karety, dopóki nie wytłumaczysz mi, jak zaszło to nieporozumienie. Mój Bratfisz ma głowę na karku i miał szczegółowe instrukcje... Nie rozumiem, jak mógł się omylić.

- Co za Bratfisz?...

- Mój stangret! Pani przecie wymieniła jego nazwisko, wsiadając? Skąd je pani zna?

- Gdzie tam! Nie słyszałam nigdy o żadnym Bratfiszu. Po prostu mąż mi pisał, że o godzinie punkt trzy kwadranse na dwunastą zajędzie po mnie fiakier, który ma gwizdnąć... To był znak umówiony... Stangret pański gwizdnął. Więc myślałam, że mój... i wsiadłam - oto wszystko.

Nieznajomy śmiał się do rozpuku.

- A to zabawny zbieg okoliczności!

- Niech pan się nie śmieje! To jest tragiczne. Trzy dni już nie widziałam męża.

- Trzy dni?!... To jest długo, według pani?... Trzy dni! To się nazywa żona!

- Jakże nie długo?... Jestem dopiero od dwóch tygodni mężatką, mój panie.

- Oho! od dwóch tygodni... No, to co innego. Miodowy miesiąc ma swoje prawa.

- No! widzi pan sam... Proszę mnie teraz wypuścić.

- Przepraszam... wprzód muszę wiedzieć, dlaczego pani nie widziała się aż trzy dni z mężem?

- Mój Boże! jaki pan ciekawy... Mój mąż po prostu dostał się na odwach... za jakieś głupie przewinienie... Coś w koszarach nie było w porządku wzorowym. Pan zna pedantyzm naszej władzy wojskowej... Ach! ten austriacki regulamin... Słowem zabrano mi męża... I umówiliśmy się, że przyśle po mnie fiakra na ten kiermasz...

- A więc koza się skończyła?

- Właśnie, że nie!... Tylko, że miał wydostać się sekretnie... dzięki pomocy pewnego kapitana. (Ale panie, na miłość Boską, to sekret... pomiędzy nami).

- Oho!... piękne zwyczaje panują u nas w wojsku.

- Piękne!... pan sam przyznaje - koleżeńskie! Wszyscy jesteśmy przeciw temu przebrzydłemu generałowi.

- Którego nazwisko brzmi?

- Ach! czy to nie wszystko jedno panu? Pan jest zbyt ciekawy.

- Przepraszam... już milczę.

- Niech panu wystarczy to, że... że mąż miał przyjechać po mnie z Wiednia... Gdzieś na rogu miał wsiąść... Dlatego sądziłam, kiedy stangret pański się zatrzymał, że czeka na niego według umowy. A tymczasem pan sobie wchodzi... nieproszony! To okropne! okropne!

Zdawało się, że nieznajomy udławi się śmiechem.

- Nieproszony! Do mojej karety! Pani jest doskonała! Ale - do licha - czemuż to pani, kiedy mąż siedzi na hauptwachcie... rozbija się po salonach Badenu, zamiast czekać na niego w Wiedniu!

- Fe! *rozbija się*... Ależ pan lubi używać brzydkich wyrażen... Po prostu musiałam być na tym balu z kiermaszem. Przecież Baden urządził go na pogorzalców mego rodzinnego miasteczka Hochroterde... pod protektoratem Arcyksiężny Stefanii... Jakże miałam nie być?

- Oho! to przynosi zaszczyt serduszku pani... Tańczyć na swoich pogorzalców!

- Nie tańczyłam... Ale chciałam zobaczyć arcyksięcia, naszego kochanego Rudiego na balu... Nigdy jeszcze nie widziałam go na balu.

- *Kochanego Rudiego!* To... to mi się bardzo podoba!

- A widzi pan!... Teraz pan już wszystko rozumie...

- Nie wszystko! Nie rozumiem, czemu mąż pani nie zajechał po panią wprost na bal.

- O! pan jest trochę tępy. Generał jego należy do świty... miał być na tym balu. Zresztą mogli go zobaczyć w karecie... i donieść. Mój major jest ostrożny... Oho!

- W istocie byłem *tępy*. Podziwiam trafność sądów pani o moim umyśle. Teraz już wszystko zrozumiałem.

- A więc!... proszę zatrzymać karetę... i nająć mi fiakra.

- Po co?

- Jak to, po co?!... Pojadę na kolej... Odszukam męża na stacji lub w pociągu.

- Będzie się bał pokazać... Nie znajdzie go, pani.

- Co to pana obchodzi?... To moja rzecz!

- Obchodzi mnie, bo jestem pani życzliwy. Mąż pani przecie wraca na odwach. Ze spotkania na dzisiaj nic.

- Nie wraca! Dopiero jutro na noc ma wrócić do kozy. Kapitan to tak urządził. Błagam pana!... skończmy z tym...

Wysiadam.

- Nie pozwolę!

- Jakim prawem?!... Wytłumaczyłam się z błędu. Pan nie dotrzymuje słowa!... Pan jest niehonorowy!

- Przecież ja sam mogę panią odwieźć na kolej.

- A, tak!?... To dobrze... Pan jest bardzo uprzejmy... Ale... ale... my przecie nie jedziemy w stronę stacji. -

Wyjrzała z okna karety. - Niech pan każe stangretowi zawrócić!

Przez chwilę nieznajomy ważył coś w myśli. Potem rzekł nagle:

- Gdybym nawet rozkazał zawrócić, nie zdałoby się to na nic.

- Nie rozumiem.

Zdawała się mocno zdziwiona i wystraszona.

- Rzecz prosta!... Ostatni pociąg nocny wyjeżdża do Wiednia, o ile wiem, o dwunastej minut dziesięć.

- Tak jest! Wsiadłam na czas. Z kasyna jedzie się kwadrans na dworzec.

- Ale ja wyszedłem pięć minut przed północą. Na pewno! Widziałem na wielkim zegarze nad orkiestrą. Pani straciła czas na czekaniu. A potem... jechaliśmy w kierunku odwrotnym... tak mile gawędząc, słowem - pociąg pani już odszedł... I mąż na pewno wyjechał.

- O mój Boże! Co ja pocznę, nieszczęśliwa?!

Przerażenie jej zdawało się rosnąć.

- Pan nie jechał na dworzec?

- Nie!... jadę... w stronę... Mayerlingu.

- To okropne!... Musi być jeszcze jakiś inny pociąg.

Prawda?

- Jest ekspres... dworski... Odchodzi o drugiej w nocy. Specjalny pociąg z powodu dzisiejszej uroczystości, dla zapewnienia powrotu z kiermaszu arcyksięstwu i dworowi.

- Ach! to doskonale!... Pan mnie w nim umieści, prawda?

Nieznajomy milczał przez długą chwilę.

- To niemożliwe - ozwał się wreszcie. - Nie mam wpływów. Nikt spoza osób dworu nie może się dostać do tego pociągu. Są tylko trzy wagony salonowe. Surowy przepis.

- Więc mogłabym się dostać do Wiednia tylko...

- Pociągiem rannym, który odchodzi z Badenu o siódmej. Mamy więc trochę czasu.

- Co ja pocznę?! co pocznę!... Mój mąż będzie się strasznie o mnie niepokoił! - załamywała ręce.

Pochylił się ku niej i rzekł stłumionym namiętnością głosem:

- Latarnie uliczne rzuciły na panią kilkakrotnie snop światła. Widziałem, że ma pani twarz młodą... i piękną...

- Cóż z tego?

- Z tego to, że... pani spędzi noc u mnie.

- Panie!... Jak pan śmie!?

- Co *jak śmiem*? Przecie nie będzie pani nocowała pod gołym niebem. Gdzieś trzeba przebyć noc! Chyba nie w karecie!

- Ależ pan odważył się!...

- Zaproponować pani gościnę... u siebie.

- Z jakiej racji?!

- Z mitologicznej... Bożek-los oplątał ponownie siecią Marsa i Wenerę.

- To zuchwałe! Bożkiem tym, zdaje się, był Merkury... bóg złodziei. Kareta nie jest siecią. Pan może jest Marsem. Ale ja nie jestem Wenerą. Jestem... oспowata. Pan by się rozczarował!

- To się sprawdzi!

- Ja się nie zgadzam. Czy panu nie wstyd? Spotyka pan pierwszą lepszą... I już panu ona ma zastąpić tę...

oczekiwaną gorąco... jakąś tam *towarzyszkę*.

- Przeczuwam, że pani jest pierwszą... najlepszą!
Zesłało mi panią niebo. Ja już prawie... panią kocham.

- A ja pana zaczynam nienawidzić.

- Cieszę się, że nie jestem pani obojętny. Pomiedzy miłość a nienawiść kobiety niepodobna nawet szpilki wsadzić.

- Patrzcie no! Co za psycholog!... Rozmowa z panem już mnie nudzi.

- A mnie rozmowa z panią coraz bardziej zajmuje.

- Mocno żałuję... bo już musimy się rozstać, jeżeli pan zaraz nie zawoła na stangreta, wyskoczę.

- Co pani robi?

- Otwieram drzwiczki.

- Nie pozwolę!

Otulił ją mocno ramieniem i pochylił się ku jej twarzy. Skrępował tym ruchem jej ręce pod płaszczem.

Zaszamotała się... Odchyliła głowę.

- Pan jesteś barbarzyńca!... Ja panu oczy wydrapię.

- Oho! gołąbka udaje sępa. Ale pazurki sparaliżowałem... Pani musi jechać ze mną.

W jego głosie nuta błagania łączyła się z rozkazem. Kareta mknęła coraz szybciej, jakby woźnica odgadywał pośpiech swego pana. Już znajdowali się na krańcu miasta. W tym miejscu jeszcze spotykały się pojazdy. Grupy spóźnionych przechodniów powracały z miasta do willi rozrzuconych u stóp wzgórza pod ścianą pobliskiego lasu. Ich okrzyki i śmiechy dochodziły poprzez turkot kół do uszu jadących.

Kobieta szamotała się wciąż w mocnym uścisku mężczyzny.

- Pan oszalał!

- Z miłości!

- Ja będę krzyczeć!

Ułękł się... Puścił ją.

- Pani nie ośmieli się krzyczeć!

- Dlaczego?

- Pani mnie nie skompromituje!

- Pan jest naprawdę pomyłony! Ja pana kompromituję... nie pan mnie?! To zrozumiałe!
Powtarzam... jeżeli nie zatrzyma pan koni, narobię krzyku na cały Baden.

Wtedy mężczyzna, jakoby zdecydował się nagle. Z ust jego padły twardo, dumnie te wyrazy:

- Pani mnie nie skompromituje, bo... jestem arcyksiężę Rudolf!

Rozdział II

Do Heiligenkreuzu czy do Mayerlingu?

Przez chwilę panowało milczenie. Kobieta zdawała się oszołomiona tym wyznaniem. Ale wnet opanowała się. Roześmiała się złośliwie.

- To bardzo dowcipne! - rzekła.

- To tylko prawda!

- Pan jesteś po prostu... łgarz!

Teraz on znowu zakłósał się śmiechem. Długo nie mógł mówić. Tak go śmiech dusił.

- Ależ pani... pani... jest po prostu cudowna! - wybąkał wreszcie. - Więc ja nie jestem... arcyksięciem?

- Owszem... tak samo, jak ja jestem arcyksiężną!

Zaniósł się śmiechem ponownie.

- A gdybym pani dał słowo honoru? - zapytał, sięgając naraz po ton powagi.

- Nie uwierzyłabym panu! Ludzie, którzy po nocy porywają samotne kobiety, nie mają słowa honoru.

Zresztą mam dowody, że pan nie jest arcyksięciem.

- Ciekawym, jakie?

- Sto, nie jeden!

- Proszę o pierwszy.

- Choćby ten, że pan uwozi mnie gwałtem.

- Niewystarczający... Pani jest kusicielką... przez swój opór, zaś arcyksiężę jest ostatecznie tylko... mężczyzną. Proszę o dowód drugi.

- W jaki sposób arcyksiążę znalazłby się w tej chwili na tej szosie, zamiast jechać do Wiednia?

- W bardzo prosty! Arcyksiążę, to jest ja udaję się do mego myśliwskiego zamku w Mayerlingu.

- Pomysł zręczny! Ale chwytam pana na kłamstwie. Może pan jest jakimś poślednim oficerem jadącym z rozkazu księcia do Mayerlingu... w sprawach gospodarskich. Ale nie należysz nawet do świty.

- A to dlaczego?

- Kto kłamie, powinien mieć dobrą pamięć. Pan sam się przyznał, że nie może umieścić mnie w dworskim pociągu... Nie masz wpływów.

- Ten przeciwdowód także nie wystarcza. Przypuśćmy, że wolałem spędzić jeszcze kilka godzin z panią w podróży.

- Mogliśmy razem jechać do Wiednia.

- Pani jest bardzo młoda... i rozumuje dziecinnie. W pociągu dworskim jedzie arcyksiężna. To jest... pewną przeszkodą. Teraz ja panią złapałem na braku logiki życia.

- Nie! ja pana trzymam dalej w potrzasku nielogiczności. *Gazeta Badeńska* ogłosiła, że arcyksięstwo powracają zaraz po kiermaszu do Wiednia.

- Ach! pani jeszcze wierzy prasie?... Czyż arcyksiążę nie może mieć kaprysów... i zmienić zamiarów na jutro?

- To niemożliwe w danym wypadku. Arcyksiążę jest następcą tronu i nie może czynić despektu następczyni, arcyksiężnej Stefanii. Proszę mi nie wmawiać tego, że arcyksiążę Rudolf, który jest przecie... następcą tronu i przyzwoitym małżonkiem, opuści naraz na wieczorze dobroczynnym... publicznie... żonę - dla jakiejś eskapady.

- Oho! to jest bolesne ukłucie! - rzekł mężczyzna z niejakim pomieszaniem w głosie. - A jeżeli arcyksiążę przeprosił żonę... i zamierzył udać się na polowanie? Pani wiadomo, że arcyksiążę Rudolf jest zapalonym myśliwym.

- Wiem o tym. Ale arcyksiążę, który daje narodowi przykład dobrego wychowania, odprowadziłby jednak żonę do Wiednia, a rano pojechał na polowanie. Zresztą pan najwyraźniej kłamie! Co to za polowanie... po nocy... na które pan zamierzał jechać z jakąś damą?

- To także myśliwska żyłka!... Czy ten, co się urodził na górze, musi być pozbawiony ludzkich namiętności?

- Nie! Ale ma stokroć więcej obowiązków zapanowania nad nimi, niż każdy przeciętny poddany.

- Oho! pani zaczyna mówić, jak własna babka.

- Proszę nie drwić!

- Ile pani ma lat?

- Sto... przez doświadczenie.

- Nie bardzo je widać po pani... Chociaż przyznaję, że chciałbym mieć taką nauczycielkę. Może byłbym lepszy.

Głos jego zabrzmiał nieco smętnie. Ale zaraz przerzucił się do wesołego tonu.

- Jednak pani mi trochę wierzy. Bowiem uspokoiła się pani i... jedzie ze mną cicho, zgodnie... A przecie jedziemy przez las - do Mayerlingu.

- Pan się myli. Zorientowałam się tylko, że... tu, na tej szosie leśnej, nic nie poradzę krzykiem. Musiałam się pogodzić z losem... po części. Wiem, że mogę wyjechać dopiero rano o siódmej. Mąż mój zrozumie, że zaszło nieporozumienie... odgadnie, że nie mając nikogo ze znajomych w Badenie, a nie chcąc korzystać z hotelu (to nie bardzo wypadałoby młodej kobiecie) pojechałam do mego wuja...

- Do Mayerlingu?

- Co panu znowu w głowie?... Do Heiligenkreuzu!...
Ponieważ pan jedzie do Mayerlingu - i jesteś uprzejmym kawalerem - mam nadzieję, że tam mnie odwiedzisz.
Wszak to po drodze?

- Troszkę z drogi... w ukos!

- No, to pan nałoży parę kilometrów dla mnie.
- Choćby sto... gdybyśmy jechali razem po szczęście.
- To niemożliwe! Ja już je znalazłam... przy mężu.
- To jest oficjalne szczęście!
- My, ludzie prości, nie znamy takich rozróżnień...
- A jednak istnieje szczęście... zapomnienia.
- Dla ludzi bez pamięci... i honoru!
- Oho! jak surowo... Więc pani mnie odsądza od honoru?
- Niezupełnie. Jeżeli pan da mi słowo, że zawiezie mnie dziś jeszcze do Heiligenkreuzu. Liczę na to.
- Daję pani słowo... Dziś jeszcze zawiozę panią do Heiligenkreuzu.
- O! teraz mi się pan podoba. Proszę podać mi rękę. Tak! jesteśmy przyjaciółmi... aż do rozstania.
- Nie! Na zawsze!
- Nie rozumiem, co znaczy *na zawsze* w ustach takiego lekkoducha, jak pan.
- A w ustach arcyksięcia?
- Który przyznaje się, że jest lekkoduchem?
- Jednak pani już wierzy w to, że lekkoduch jest arcyksięciem!
- Ani... ani... Zostaw pan arcyksięcia w spokoju. Rudi jest oczkiem w głowie wszystkich narodów Austrii. Jest bóstwem dla nas, zwykłych śmiertelników. Proszę go nie postponować, porównując się doń.
- Cha! cha! cha!... przyjemnie mi to słyszeć... Ale pani upór trochę mnie zawstydzia. Czy ja naprawdę nic a nic nie jestem podobny do arcyksięcia?
- Nic a nic! Ani źdźbło...
- Szkoda, że jest tak ciemno. Poznałaby mnie pani. Musiałas mnie chyba widzieć dziś na balu.
- Naturalnie! I dlatego wiem z pewnością, że pan nim nie jest. Arcyksiążę Rudolf przewyższa pana o głowę.

- Oho! w karecie – kiedy się siedzi – trudno osądzić wzrost.

- Ale ja znam arcyksięcia Rudolfa doskonale... Znam jego głos... Mówiłam z nim kiedyś...

Odpowiedział jej głos wesoły:

- No! no!... teraz to pani mija się z prawdą. Na honor, mógłbym przypościć, że pani wcale dzisiaj nie była na kiermaszu...

- I nie widziałam, jak arcyksiążę oklaskiwał z zapalem jakąś tancerkę, wykonującą taniec góralski?

- Pardon! cofam swoje słowo... To fakt!... Tancerka była wyśmienita! Ale kiedy to miałem przyjemność rozmawiać z panią?

- Nie pan... ale arcyksiążę... Bardzo dawno!... Za granicą!

- Dawno?!... Gdzie?... w którym roku?

- Oho! egzamin? To ja raczej miałabym prawo wziąć pana na egzamin i dowieść panu, że nie jesteś arcyksięciem.

- No! proszę... proszę... Staję do egzaminu... jeżeli w tej ciasnocie można *stanąć*. Skróćmy sobie czas tym egzaminem – a może uda mi się go zdać na piątkę.

- Doskonale! Zaczynam!... W którym roku, mój panie, podający się za arcyksięcia, jesteś urodzony?

- W dniu 21 sierpnia roku 1858 na zamku Laxenburg ujrzałem światło dzienne, jako trzecie z kolei dziecko, a pierwszy syn cesarza Franciszka Józefa i cesarzowej Elżbiety, z rodu królowny Bawarskiej, któremu na chrzcie świętym nadano imię pierwszego z Habsburgów... Cóż, czy zdałem egzamin?

Pan jesteś doprawdy naiwny! Przecież to można wyczytać w Almanachu Gotajskim.

- Ale pani sama zadała mi to pytanie.

- Bo mówią ludzie, że arcyksiążę Rudolf jest człowiekiem genialnym. Chciałam sprawdzić, czy odpowie mi pan na me pytanie naiwnie. To się nie zgodzi z genialnością.

- Nie będę bronił swojej mądrości. Ale pani czyni błąd... teoretyczny. Geniusz bywa jak dziecko.

- Śliczne mi dziecko! Ile pan sobie liczy lat?

- Znowu odpowiadam naiwnie. Wystarcza znajomość pierwszych reguł arytmetyki, aby określić, że skoro urodziłem się w roku 1858, a obecnie mamy kwiecień roku 1888, to mam lat blisko trzydzieści. Czy zadawała panią moja pomoc w odejmowaniu?

- Zaraz odpowiem. Pragnę wprzód dowiedzieć się, czy pan dobrze pamięta, że pan się ożenił... i kiedy?

- Najdoskonalej! Ale to znowu znajdzie pani w kalendarzu Gotajskim. Poślubiłem księżniczkę belgijską Stefanię w dniu 10 maja roku 1881, zatem mając lat dwadzieścia dwa.

- To się zgadza! Jest pan dietny?

- Owszem, pani egzaminatorko. Mam prześliczną córeczkę o imieniu Elżbieta, urodzoną 3 września 1885 roku, zatem liczącą półtrzecia roku - którą, mówiąc nawiasem, kocham nad życie.

- Pan kocha żonę i dziecko... nawiasem?

- Pani!... ten żart wybaczam - kobiecie!

- Panie!... jeżeli jesteś arcyksięciem, upoważniłeś mnie dziś wieczorem do tego żartu.

- Hm... Przypuśćmy!... Ciekawy jestem, ile pani lat liczy. Bo na swoje lata zdajesz się być zbyt mądrą... i pedantką.

- Lata kobiety są jej tajemnicą.

- Póki ich nie potrzebuje odejmować sobie.

- Póki rada jest je sobie dodawać.

- Wyborne! Z pani jest dialektyczka nie lada. Ale wróćmy do egzaminu. Czy wszystko się zgadza?

- Właśnie, że nie wszystko... Nie zgadza się z pańskim poważnym wiekiem męskim... (lat trzydzieści), z pańskim ośmioletnim małżeństwem, z pańskim dwuletnim ojcostwem... jak nie zgadzałoby się z Twoim arcyksiążęcym tytułem, gdybyś go nosił w istocie, że... zachowuje się pan jak młodzik i... zdradziłeś pan zaledwie przed półgodziną temperament studenta!

- Ach, pani... to natura.

- Natura ma swoje prawa.

- Te prawa są kapryśne. Czy nie uważa pani, że obecna wiosna zaczęła się niezmiernie wcześnie. A dzisiaj, w kwietniu, mamy dzień prawie parny.

- To pan jest tak gorący...

- Nielitościwa sędzini, której oblicze pragnąłbym jak najprędzej ujrzeć, aby skonstatować, w jaki sposób mogą się łączyć rysy Minerwy i Wenery - czy nie przyznasz mi, że temperament w wieku dojrzałym jest przywilejem... najlepiej urodzonych.

- Może! - roześmiała się srebrzyście młoda kobieta Ale z tym wszystkim nie jestem jeszcze przekonana, że jest pan arcyksięciem. Raczej jestem pewna, że nim nie jesteś. Pan - proszę mi wybaczyć - wydajesz się pustakiem. Zaś arcyksiążę jest człowiekiem niezmiernie poważnym.

- Oho!... przynajmniej coś dobrego słyszę o sobie.

- O arcyksięciu.

- Niech i tak będzie! Z czego pani wnosi, że arcyksiążę jest człowiekiem poważnym?

- Mój Boże!... pan się podaje za niego, a nie wie tego, co wiedzą wszyscy? Arcyksiążę Rudolf otrzymał świetne wychowanie... od dziecka posiadał niesłychany zapal do wiedzy... uczył się przedziwnie... Czy jest człowiekiem

poważnym?... Mój Boże! on, który stoi na czele wspaniałego wydawnictwa pod tytułem *Austro-Węgry w słowie i obrazie* – wydawnictwa pomnikowego – które stanowi wcielenie jego pamiętnych słów: *Niechaj morze światła rozleje się nad narodami Austrii...* On, który pisze sam... cudownie, malowniczo, porywająco, opowiadając dziwy, które widział w różnych krajach, obyczaje mnóstwa ludów... On, który posiada śmiałego ducha, wróżącego postęp ludzkości... rzadki okaz wśród następców tronu – może Schillerowski *Don Carlos*... Poeta i uczony!... myśliciel i statysta!... a przy tym wszystkim prawdziwy rycerz!... Czy pan widział go kiedy tak... z bliskiej odległości jak ja... kiedy jedzie na białym koniu, wysmukły, obok smukłej cesarzowej-matki, również świetnej amazonki... Ach! panie – on jest czarujący! Po prostu księżę z bajki!

Porywał ją potok słów... Znajdowała je niesłychanie łatwo w tym wylewie niemal dziecinnego entuzjazmu... Aż zadyszała się, mówiąc... Urwała, jakby straciwszy nic myśli, z okrzykiem:

– Ale co to ja chciałam powiedzieć?

Arcyksiążę Rudolf – nie mamy bowiem powodu taić, że to był on – słuchał tego potoku słów zachwytu z bijącym radością sercem, ale zarazem z zawstydzeniem. Jego towarzyszka poruszyła najtajniejsze struny jego duszy, malując mu jego jaźń podwójną – wynosząc go pod niebiosy, jako kogoś dalekiego, nieznanego, i chłoszcząc go niemiłosiernie zaprzeczeniem, iż to on, ten obecny Don Juan, był jej ideałem i – według jej świadectwa – ideałem narodów monarchii, którą miał kiedyś odziedziczyć po ojcu jako rządca milionów dusz ludzkich!

– Zamilcz pani, proszę – rzekł naraz błagalnie. Gdyby tu było światło, oceniłabyś z mego rumieńca, że jestem

tym... o którym mówisz.

- Pan ciągle żartuje!... Nie widzi pan, jak bardzo chciałabym, abyś pan był arcyksięciem... naprawdę!

- Wszak mówisz, żeś go znała...

- Kiedyś... dzieckiem...

- Kiedy? Kiedy? Gdzie?

- Mniejsza o to... daleko!... w Szkocji... na balu w salonach Konsula greckiego... w Edynburgu.

- W roku 1878.

- Tak! To się zgadza... Ale to pan także wie z gazet.

- Ja tę dziewczynkę pocałowałem w czoło... Podała mi bukiet?... Tak! - dopytywał się wzruszony.

- Tak, tak... to nie sztuka zgadnąć. Tak się zawsze robi... Ale proszę pana... czy nie przejechaliśmy poza zakręt?

- Nie, nie! proszę być spokojną!... Już ja pilnuję!

- Proszę tylko na czas uprzedzić woźnicę...

- Pozwól pani!... Więc tą dziewczynką... cudnym dziecięciem o wijących się czarnych lokach, była pani?

- Oczywiście! Musiałam urosnąć.

- Więc skoro pamiętam ciebie - to... to rozumiesz pani, że ja jestem... tym, za kogo się podaję.

- Oho! jaki sprytny...

- Przecież powiedziałem pani, jaki był kolor twych włosów...

- Ba! rzekłam: w *greckim poselstwie*... I pan skombinował. Zresztą przy blasku latarni ulicznych rozpoznałeś pan kolor mych włosów.

- Nie, pani! nie męcz mnie tą niewiarą, bo... to teraz nie bawi mnie, ale... boli. Rozumiesz, dziecko?!...

Ujął ją pieszczotliwie za rękę. Nie cofnęła jej.

- Winnaś mi pocałunek... za tamten... równie niewinny.

- Przepraszam... Gdybyś pan nawet był arcyksięciem, to już ci... go oddałam.

- *Gdyby!*... Kobieto uparta, jakież dam ci dowód, że nie kłamię, jeżeli... mamy się rozstać za chwilę... bo tu już zakręt drogi jest blisko... A chcesz mi uciec do Heiligenkreuzu.

Arcyksiążę w tej chwili kłamał z całą świadomością, porywany przez jakiś mus, który owładał nim wobec towarzyszkę nęcącej go tyleż śpiewnym głosem, co tajemniczością twarzy – jednakowo oczarowaniem, z jakim o nim mówiła, jak przekornością i kolcami zasłużonych zarzutów pod adresem jego niewiernej męskiej natury i lekkomyślności nie pasującej do jego szczytowego stanowiska w ludzkim świecie. Kłamał, gdyż pojazd minął właśnie zakręt drogi, skąd jechało się do Heiligenkreuzu. Rudolf wiozł – jak był sobie z góry zamierzył – przygodną towarzyszkę do Mayerlingu. Konie szły kłusem, byli więc już niedaleko celu jego podróży.

Nieznajoma zmieniła naraz ton. Teraz głosem kornym, w którym przepadły wszystkie ostre, złośliwe tony, coraz śpiewniejszym, mówiła o tym, jak bardzo interesowała się tym wszystkim, co pojawiała się spod pióra arcyksięcia; zwłaszcza o tym, co dotyczyło ptaków – gdyż, jak i on, interesowała się ornitologią.

- Oczywiście, nie znam się na tym fachowo... jestem, że tak powiem, laiczką. Arcyksiążę słynie jako ornitolog. Otóż jeżeli pan chce przekonać mnie, że pan jest w samej rzeczy... arcyksięciem, to proszę mi tak ładnie, jak on to robi, opowiedzieć o polowaniu na sępy.

Koła dudniły po szosie. Wiatr szumiał w liściach. Tu i ówdzie przez przesieki zaglądały w szyby pojazdu świetne gwiazdy podnoszące się spod horyzontu. A Rudolf, zachwycony uwagą czulej słuchaczki, porwany własnymi wspomnieniami – obrazami, które rozgrzewały krew przyrodzonego myśliwca – opowiadał wrażenia ze swoich wycieczek górskich i polowań. Starał się mówić osobliwie

zajmująco – przeskakiwał szybko z jednego tematu na drugi. Pragnął bowiem ze wszystkich sił, aby towarzyszka jego zapomniała o zakręcie, o którym wspomniał nieostrożnie, acz kłamliwie, jako o „bliskim”, aby nie dopominała się zatrzymania koni – i dała się dowieźć do Mayerlingu. A tam już się zobaczy, co ma nastąpić...

Z ciężkiego tchu bliskich jego twarzy ust słuchaczki – głowy ich schyliły się ku sobie – zgadywał radośnie, że przejęła się całkowicie niebezpieczeństwami, które jej malował. Bodaj słyszała, dzięki potędze jego opowiadawczej zdolności, szum olbrzymich skrzydeł sępów... ich obrzydliwy skrzekot, gdy opuszczały się na podrzucone im ścierwo wilcze... widziała, jak jej towarzysz przykładał uprzednio broń do oka i mierzył między świecące ślepia ogromnego wilka. Uczuwała z nim razem ową zajadłą rozkosz myśliwego, gdy „ołowiany pokarm” słał w brzuch drapieżnych ptaków... słyszała, jak ciężko opadały ranione na skały. Widziała lot królewskich orłów w błękitach nad szczytami gór, idąc śladem jego wspomnień.

Potem przenosił ją w myśli do Burgu Wiedeńskiego, opowiadał o dziwach swego mieszkania na zamku: trzy salony – jakkolwiek stanowiły jego lokal – sprawiać musiały raczej wrażenie gabinetu naturalisty. Jeden z salonów wyglądał na las ze skałami i grotami; były tu drzewa sięgające do sufitu; wiecznie zielone iglaste gałęzie stanowiły dekorację ścian. W kącie znajdował się pierwszy niedźwiedź ubity przez arcyksięcia pod Munkaczem – olbrzym, wypchany przez mistrza. Tenże mistrz upozował na sztucznej skale w drugim kącie salonu kilka sępów z rozpostartymi skrzydłami nad głową konia. Zabite sępy pochodziły z Hiszpanii, Egiptu, z wyspy Plawnik w Quarnero.

W drugim salonie – według pomysłu arcyksięcia – wypchane zwierzęta zabite przezeń odgrywały dramatyczną scenę naśladowaną z natury: hiena broniła trupa owcy przeciw kilku zgłodniałym lisom... Tu znajdowały się także szable tureckie i pistolety arabskie oraz całe składy innych kosztownych darów otrzymanych przez Rudolfa od wodzów nomadów pustyni.

W trzecim salonie znajdowało się mnóstwo rogów sarnich i jelenich, kłów dzików, skór niedźwiedzi – wszystko owoce wytrwałości myśliwskiej arcyksięcia.

– Dlaczego kareta się zatrzymała? – spytała naraz kobieta, gdy Rudolf jednocześnie zamilkł.

– Bo przyjechaliśmy do... Mayerlingu!

– Ależ ja... miałam jechać do Heiligenkreuzu!

– Przyrzekłem dostawić tam panią dziś... Dotrzymam słowa... Będzie tam pani na szóstą rano... i wuj odwiezie panią na kolej, jeżeli zechce.

– Ależ!...

– Wszakże nie godzi się budzić *starego wuja* po nocy... Kilka godzin spędzi pani u mnie w gościnie... Potrafię uszanować panią... Na honor!

– Jednak...

– Ciszej!...

Przy otwartych drzwiach karety stał woźnica. W mroku rysowały się wrota Mayerlingowskiego pałacyku. Słysząc było zgrzytanie kluczy w zamku. Wierny kamerdyner Loschek czuwał w otwartym oknie – dosłyszał turkot kół i rżenie koni we wjazdowej alei i pośpieszył otworzyć panu. Rudolf wyskoczył z karety.

– Arcyksiężę! polegam na słowie waszej Księżęcej Mości...

I wysiadła, podawszy mu rękę, którą mocno uścisnęła. A więc uwierzyła mu!... Więcej! Zawierzyła mu swój honor.

Rozdział III

Panna czy mężatka?

Mayerling stanowi jedyne dobra ziemskie, które nabył na własność arcyksiążę Rudolf. W tej uroczej miejscowości, położonej na ustroniu wśród malowniczych gór, poszukiwał samotności w chwilach, gdy dojadł mu zgiełk dworskiego życia. Był to zarazem punkt zborny dla towarzyszy polowania – umiłowanej rozrywki Rudolfa. Zakupiony niedawno zameczek myśliwski nie był jeszcze w pełni urządzony. Służba zwykła się tu zjeżdżać wieczorem w przeddzień wyznaczonego na wczesny ranek polowania. Arystokratyczne towarzystwo arcyksięcia – o ile łowy przedłużały się na dzień jutrzejszy i następne – znajdowało nocleg w pobliskiej oberży, w której urządzono na ten cel odpowiednie gościnne pokoje. Właściwie cała oberża służyła tylko na użytek gości arcyksięcia i w zwykłym czasie, poza dniami polowań, była zamknięta. Nawiasem mówiąc, w tej przedziwnie cichej okolicy było zaledwie kilkanaście rozrzuconych na wzgórzach domków, w których przebywali włościanie, oczekujący dnia przyjazdu arcyksięcia na łowy, niby święta: służyli oni za naganiaczy zwierzyny dla umiłowanego pana, mianowanego serdecznym zwyczajem: *nasz Rudi*.

Kamerdyner prowadził dwoje przybyłych przez szereg pokoiw niemieszkalnych do właściwego lokalu arcyksięcia w lewym skrzydle zamku na parterze. Właściwie prócz przybudówki piętrowej na lewym skrzydle nad pokojami służbowymi cały zamek stanowił

budowlę parterową – pełną smaku, acz na ogół skromną, przypominającą staroniemieckie domy gospodarskie. Sięgała ona czasów dawnych i długo stała pustką. W ogóle cały Mayerling był bezludny, jakkolwiek nazwa ta wspominana jest już w kronikach XII wieku. Miejsce to odkrył i upodobał sobie arcyksiążę, zabłąkawszy się w tej okolicy podczas pieszej wędrówki, celem odwiedzenia ufundowanego przez cystersów w sąsiedztwie Heiligenkreuzu klasztoru, którego starożytną architekturę i słynnych z pobożności mnichów pragnął poznać.

Przybyła dama, spojrzawszy z ukosa na trzymającego wysoko ponad głowę zapalony kandelabr i świecącego przodem arcyksięciu kamerdynera Loschecka, miała wrażenie, że widzi przed sobą samego cesarza Franciszka Józefa. Stary kamerdynier, wzorowy służbista, w samej rzeczy wypieścił sobie bokobrody na wzór swojego długoletniego pana, cesarza Austro-Węgier; ambicję jego zadawała to przypadkowe a niezwykle podobieństwo. Starał się nawet naśladować w powolnych i dystyngowanych ruchach Najjaśniejszego Pana. Nie bacząc na to, że służył cesarzowi od jego lat młodzieńczych, jeszcze przed ślubem i używany był nieraz do misji dyskretnych, potrafił przyrodzonym taktem zachować winną odległość, daleką od poufałości wobec dostojnego swego pana. A może dlatego właśnie Franciszek Józef zrzekł się usług swego ulubieńca na rzecz syna. Odczuwał trafnie, że nie zdoła wymówkami okiełzać burzliwego temperamentu budzącego się w młodzieńcu w okresie dojrzewania; a lękając się, że następca tronu łącznie skompromitować się może przez *zbytek demokracji* wchodzeniem w konfidencję ze służbą, łatwo poufalącą się przy wysługiwaniu się namiętnostkom książęcym, polecił mu służącego, który

posiadał zaletę wypróbowanej dyskrecji i powagę wieku, upoważniającą do zwrócenia uwagi dostojnemu panu na potrzebę szanowania zdrowia.

Tylko w pewnej części Cesarz nie zawiódł się na swojej rekomendacji. Loscheck w istocie otoczył troskliwością arcyksięcia Rudolfa, którego umiłował jeszcze jako dziecko; nadto stanowił wzór dla pozostałej służby przez swój stosunek do następcy tronu pełny dyskrecji i winnego tytułowi poszanowania. Ale arcyksiążę Rudolf osadził go przy pierwszych próbach delikatnej perory wesołym śmiechem; nie cofając mu swego pańskiego przywiązania, zamknął go jednym gestem w należnych granicach; swoich „demokratycznych narowów” w stosunku do woźnicy i lokajów nie wyzbył się, bo nade wszystko lubił wygodę własną i prostotę w życiu powszednim; zgorszone miny kamerdynera tak go bawiły, że ten zniewolony był je ukrywać, aby nie narażać się na wyśmianie. Zresztą sam Loscheck folgował chętnie wszelkim życzeniom arcyksięcia, nie tyle przez obowiązek pochlebczego sługusostwa, o ile przez wyrozumiałość dla potrzeb młodego wieku, a zwłaszcza przez niemal niewolnicze uwielbienie dla następcy tronu.

Był o tyle w swoim charakterze, że raczył oddać tylko przelotny półukłon towarzysze arcyksięcia, po czym nie odwrócił ku niej głowy, podejrzewając w niej osobę niewysokiej kondycji i lekkich obyczajów – przyjechała przecie na noc i nie była mu znana. Ale ten brak szacunku dla osoby, towarzyszącej jego wysokiemu panu, bądź co bądź godził się z obowiązującą dyskrecją i był na rękę gospodarzowi i jego gościom płci żeńskiej; stanowił niejako regulamin w odnośnych wypadkach.

Wszyscy troje szli w milczeniu. Arcyksiążę był poniekąd zmieszany niezwykłą sytuacją – tajemniczością osoby, którą sprowadził do siebie niemal podstępem.

Serce biło mu lekką obawą – uczuciem obcym jego śmiałości z natury usposobieniu i nawykom uznanego przez płeć piękną pogromcy serc niewieścich. Dotarło przez szereg prawie nieumeblowanych pokojów, znajdujących się w stanie rozpoczętego remontu, do właściwej arcyksiążęcej siedziby. Składała się ona z trzech pokojów narożnych. W chwiejnym świetle niesionego przez Loschecka kandelabru rzuciły się w oczy nieznanym liczne trofea myśliwskie na ścianach obszerniejszego pokoju stołowego – gałęziaste rogi jeleni i saren. W sąsiednim, *zielonym* saloniku – jedynym umeblowanym wytwornie – stał w pośrodku okrągły stół, na którym znajdowała się zastawa: gerydony, napełnione wybornymi owocami, wśród których przeważały ananasy i jabłka tyrolskie, konserwy w otwartych pudełkach, półmiski z krajaniem zimnym mięsem, sandwicze, ciasta, butelki różnokształtne i różnobarwne napełnione winem i likierami; dwa talerzyki na brzegu stołu świadczyły, że przygotowano zastawę na dwie osoby. Na marmurowym stoliczku obok serwisu chińskiego oczekiwała maszyna spirytusowa umiejętnej ręki do zagotowania wonnej mokki. Z saloniku, którego meble i obicia ścian połyskiwały złoceniami i zieloną barwą materii – skąd nazwa *zielonego salonu* – otwarte drzwi pozwalały rzucić wejrzenie na względnie skromny pokój sypialny: widać było kawałek mahoniowego łóżka, część umywalni, komodę i wielki obraz na ścianie, przedstawiający Akteona podpatrującego Dianę w kąpieli – dzieło mistrza pędzla.

Dama zatrzymała się w kącie, skrzyżowawszy ręce u sprzączki zapiętego płaszcza, przytrzymując fałdy osłaniającego jej twarz zawoju z błękitnej gazy. Tymczasem Loschek z pomocą arcyksięcia zapalał lampy stojące na konsolach pod różnobarwnymi abażurami i